

Paweł Chojnacki: Twardy, ostatni akord. Na marginesie „Smutnego młodzieńca” Wojciecha Wencła [CZĘŚĆ 2]

„Smutny młodzieniec” zamknął trylogię o emigracyjnych Skamandrytach. W dotychczasowych glosach zawarłem ułamek wrażeń, które wybudziła łakoma konsumpcja wszystkich książek cyklu. Odkładałem dla nich natychmiast inne lektury, odsuwałem napoczęte prace, jeszcze bardziej nadwyrężając napięcie – zdawałoby się do granic możliwości – terminy.

Sztuki nie należy nigdy zbyt szeroko analizować i omawiać. Należy ją wchłaniać.

Analiza przyjdzie później, jeśli w ogóle przyjdzie.

Stanisław Baliński, 1965.

Zaangażowanie niech usprawiedliwi postawienie pytania. Czy nie od rzeczy byłoby przygotować nowe edycje pierwszego (Wierzyński) i drugiego (Lechoń) tomu, uzupełnione o informacje źródłowe, które nie mogły być autorowi znane, gdy przystępował do pisania przed kilkanaście laty? Przede wszystkim o obszerną pocztę Mieczysława Grydzewskiego z Kazimierzem i Haliną Wierzyńskimi (ślady tylko w *Młodzieńcu*) i o dziesięć *Dzieł* Józefa Mackiewicza. Bohaterowie tryptyku nie wstępują do drugiej kolekcji zbyt gęsto, ale gdy już przechadzają się, to z

wdziękiem. Korespondenci pomagają osadzić poetów w najlepiej umotywowanym kontekście: w listach Mackiewicza i Barbary Toporskiej z Januszem Kowalewskim ukazuje się Baliński trzydzieści jeden razy, z Juliuszem Sakowskim – piętnastokrotnie, a liczba odniesień poczynionych do redaktorów „Wiadomości” sięga tuzina.

Ogłoszona w *Wielkiej Niewiadomej. Listach do i od różnych osób* przesyłka Toporskiej z 14 stycznia 1980 roku choć nie przynosi przełomowych rewelacji, stać by się mogła zaczynem owocnej dygresji o zasięgu i znaczeniu (nieco po macoszemu potraktowanych) felietonów Balińskiego z „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Do suchego orzeczenia, że „rubryka *Rozmaitości. Sztuka i życie* przez lata dorobiła się licznego grona admiratorów”, jak ułał pasowałoby zdanie: „Jak Panu kiedyś wspominałam, czytanie «Dziennika» zaczynamy od *Rozmaitości*. Nie był to czczy komplement”. Dopominając się o uwzględnianie jej mrówczej harówki Toporska doda, że 17 lipca 1972 roku sprawił „wielką przyjemność” omówieniem *Pamiętników* Karola Wędziagolskiego, które obrobiła bezimienne.

Przeczytaj również: Niedopalona lira i kurz

Wśród rozsypanych w kilkudziesięciu rocznikach variów natrafiłem – znów tytułem przykładu – na serię ośmiu epizodów eseju *Życie Fryderyka Chopina – emigranta* (1949), czy na frapujące omówienie dzieła Aleksandry Orme *From Christmas to Easter. A Guide to a Russian Occupation* (Glasgow 1949) pt. *Rosjanie przynieśli na swych bagnetach strach i zwyrodniałe kłamstwo*, jakże ważne dla zarysowania mocniejszą kreską światopoglądu Balińskiego. Portret *Karierowicza* pt. *Witaj kariero... Nowa książka Józefa Mackiewicza* (1956) wybrał do antologii *Józef Mackiewicz i krytycy* Marek Zybura (Łomianki 2009).

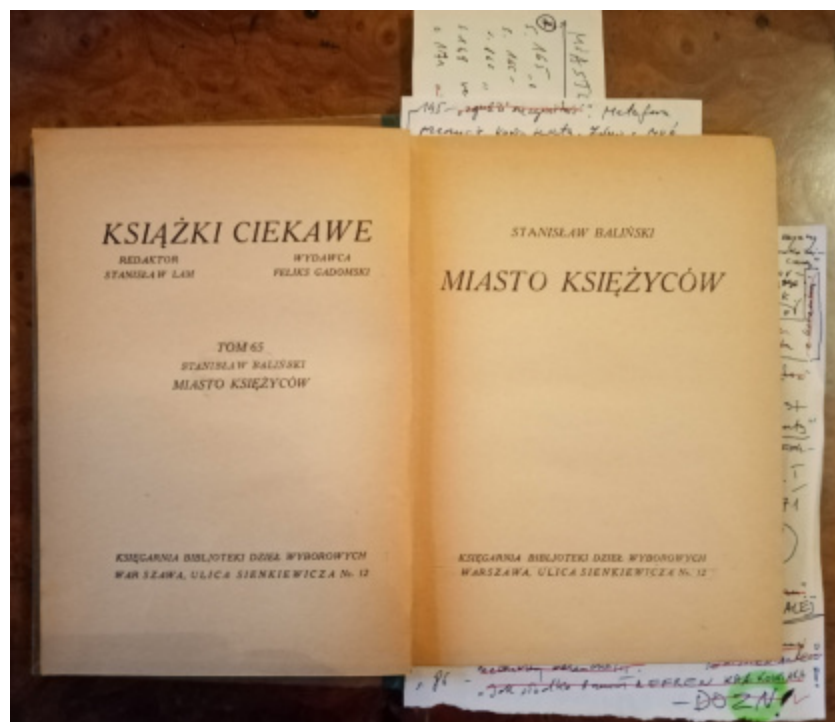
Żaden z tych odcinków nie został włączony do książeczki *Antrakty, czyli notatki o życiu i sztuce w drugiej połowie XX wieku w Londynie* (1978). Ostro się Wencel z nią obchodzi...

„Problem w tym, że zbyt wiele w tych impresjach komunałów i cytowania cudzych opinii, a zbyt mało sądów odkrywczych i głębokich”. Zemściło się zawężenie problematyki do uchwyconej w podtytule? A może liryczny felietonista dokonał nie najszcześniejszego wyboru? To raptem 51 z 1175 odcinków i „kilkuset recenzji”! Ich świeża selekcja winna zawierać dodatkowo wypowiedzi radiowe. Jak wypatrył Konrad Tatarowski, występował Baliński „także w roli dziennikarza, prowadzącego rozmowy z innymi autorami (np. z Józefem Łobodowskim w październiku 1953)”. Audycje o Żeromskim, „Skamandrze” i Słonimskim, o Teatrze Polskim w Warszawie (w jego 50-lecie w 1964 roku) czy o awangardowych tendencjach w literaturze otwierają się przy najbardziej pobieżnym wejrzeniu w dostępny w sieci katalog archiwalnych nagrań RWE.

Mól i rdza?

Antrakty to nie jedyna proza poety. W 1965 roku podał *Talizmany i wróżby* – koszyk opowiadań, włączając weń kilka z wcześniejszego o czterdzieści lat młodzieńczego zbioru. Odgrzebującej w paszkwilu *Maria i Magdalena* dawny czas Magdalenie Samozwaniec Baliński jawił się wyłącznie jako „doskonały prozaik”. Czy i wobec niego chciała być złośliwa? Nasze zdziwienie „ma w sobie coś z najbardziej dalekich pieśni”, gdy *Miasto księżyców* skojarzy się z *Opowieściami kosmikomicznymi* Italo Calvino. Tu i tam słowa oplątują „niby księżycowe liliamenty”, napełniając „głowy słodkim ciężarem”, a przemienieni bohaterowie egzystują „pozornie bliżsi nieskończoności:

ich życie trwać musiało dotąd, dopóki trwało działanie promieni księżycowych, skoro właśnie owe promienie stały się ich jedynym pożywieniem”.



Calvino, 1965: „Chodziliśmy [...] zbierać mleko przy pomocy dużej łyżki i kubeczka. Mleko księżycowe było bardzo gęste, coś w rodzaju twarożku. Tworzyło się w zagłębieniach pomiędzy łuskami drogą fermentacji rozmaitych substancji pochodzenia ziemskiego, ulatniających się z łąk, lasów i wód, nad którymi się satelita unosił”. Robota „– wyciskanie księżycowego mleka z łusek – była swego rodzaju zabawą”. Baliński, 1924: „Magnezjum księżycowe wyolbrzymiało [...] ogród, oddalając mi go jednocześnie, niby perspektywę dekoracyjną; tam – wzdłuż gęstych drzewnych bukietów – kończył się pościg”. Owa „dekoracyjna perspektywa” nie znalazła raczej drogi do serca Wojciecha Wencła.

Streszcza fabuły nieczuły na ekspresję beletrystyki fantastycznej lat dwudziestych. Choć śmiało powiedziałbym – fantastycznej prozy! (Banalne odwrócenie przemieni tu znaczenie wyrazów). Spostrzega młodym okiem Olga Zatońska: „Warto zasłuchać się w delikatne frazy układanych przez niego opisów i pozwolić mu oczarować się wizją świata, którego już od dawna nie ma, a może nie było nigdy”. Znajdzie tymczasem Wencel powody do pochwał prekursorskiego postmodernizmu w *Zenobim Palmurze* Jarosława Iwaszkiewicza. Wielokroć też na jego relacje się powoła. Czy werdykty czynione po latach są obiektywne? Obserwujemy jakby ich przerost, zbyt często patrzemy na Stanisława tymi oczami. Generalnie nadpodaż Iwaszkiewicza występuje ostatnio nie tylko w *Smutnym młodzińcu*.

W sondzie z 1952 roku Baliński odpowiadał: „Moje dalsze zamierzenia?...” – „przepisać nowelę na temat aktualny pt. *Człowiek w płaszczach*”. Nie natknąłem się dotąd na nią, a zachęcam by szukać. Bo jeśli nie zanoszą się na wydanie gazetowych *Rozmaitości*, tych, które przetrzymały próbę czasu, to zapowiedź edycji opowiadań intryguje. Anonsuje ją w 184 numerze dwumiesięcznika „Arcana” cytowana wyżej Zatońska, szkicem o *Balińskim – pisarzu grozy* poprzedzając zapomnianą powiastkę *Zabity przez lustra* („Wiadomości Literackie”, 1924). „Och wyskoczę ponad miasto piramidą szkieł i trysnę dzwoniącymi krzykami protestu!” – zwiastuje nowelista. Pośród morderczych zwierciadeł migną i tu tysiące sobowtórów zanurzonych w „zielonym, wodnistym księżycu”, co i napojem się stanie.

Nie ulegajmy ułudzie, że biografa znamionuje nieufność do prozy. Udowodni, że służy mu ona znakomicie. O „Nowej Polsce” redagowanej podczas wojny przez Słonimskiego w Londynie rzuci: „Czytelnicy pisma

w trybie pilnym oswajali się z polskim brzmieniem pojęć, które dotąd były pisane głównie cyrylicą”. Trafi w sedno określając występ Gombrowicza *Przeciw poetom* jako „głos z oślej ławki”. Żal, że podobnych wtrąceń (tak zgrabnie cementujących *Wierzyńskiego*) na lekarstwo. Tęskno za strofami – „niespiesznie spacerowali po mieście z Jerzym Stempowskim”, czy „polemika z Gomułką to jednak coś innego niż dialog z Mnemosyne czy Orfeuszem”, albo o Miłoszu, który „najwyraźniej w swych pseudoklasycyzujących wierszach i przekładach [...] widział [...] owe kamienie, które zmieniają bieg lawiny”.

Przeczytaj również: Piąty krąg

Ujmuje zwrot o rządzących po II wojnie europejską kulturą „macherach zakochanych w nicości”, sytuując się wszelako na granicy politycznej „bieżączki”. Nie raz Wencel się jej podda. Zdruzgotany „upadkiem kultury i obyczajów” zahaczy o „współczesnych nam «użytecznych idiotów»” (dwukrotnie takimże nazwie Słonimskiego), trąci o czasy „aksjologicznego chaosu, politycznych namiętności i powszechnego uzależnienia od mediów”. Sięgając po publicystykę zdradza deficyt wiary, że ktoś weźmie do ręki książkę za lat ...dzieści. Gdy to zrobi, potrzebować będzie adnotacji, by zrozumieć „co pisarz miał w głowie”, oświadczając, że była Słonimskiego „nowomowa godna współczesnych nam ideologom Wielkiego Resetu”, czy że Baliński „z zapartym tchem śledziłby pandemiczne raporty”. Zawiesi się przy dedykacji „dla dzisiejszych szermierzy «polityki realnej» i «historii realnej»”.

W poprzednich częściach nie sposób dojrzeć terazniejsze „podrzutki” lub wpadają sporadycznie, nie rzucając się w oczy. Z drugiej strony niewykluczone, że poprzez aktualia stanie się *Smutny...* świadectwem czasu i rozterek autora? Niemniej wydaje się, że dziennikarskie zacięcie nie pomaga niekiedy stylowi. „Tęsknotę za Wschodem wyrażał Baliński

mową wiążaną” – zapowiada narrator, poczem deklamuje jej próbkę. Unikałbym łatwizn, zdarzy się przy *Dwóch świecach* i *Rzeczy sumienia* szkolna interpretacja, a nawet zakłuje ton belferskiego wykładu. Zaś piękny Seweryn Goszczyński (*Sadźmy przyjacielu róże*) zawiśnie w powietrzu – zapowiedź wróży błyskotliwe skojarzenie, przecięcie się tropów, odkrycie zamierzonego powinowactwa, a spod pióra płynie gwałtownie nowa myśl.

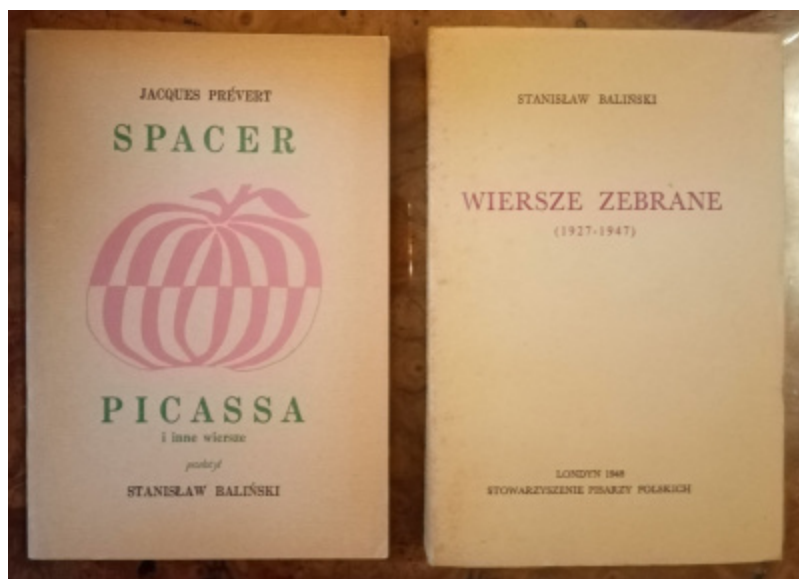
Poza tym Goszczyński nie wybrał się na tułaczkę „po powstaniu listopadowym”. Po krótkim pobycie w Prusach ukrywał się spiskując ostro w Galicji, skąd udał się na emigrację dopiero w 1838 roku. Lecz punkt ten zalicza się już do potknięć rzeczowych.

Braki i flaki albo *Jaka szkoda...*

Depesza wysłana z USA do Mieczysława Grydzewskiego przez przechodzącego na sowiecką stronę Tuwima „**nie wiedzieć czemu**” po angielsku? Tu nie ma drugiego dna – telegramy nadawano po prostu w języku pocztowców. Na sztokholmskim kongresie PEN-Clubów w 1946 roku większą rolę niż piętnowany Słonimski odegrał niestety Jan Parandowski. Zauważy go w artykule *Literatura cofa uznanie* Zygmunt Nowakowski, nazywając eufemistycznie „raczej konkurentem rycerskim”: „Przewodniczący krajowej delegacji [...] jest znakomitym literatem i nieposzlakowanym Polakiem, jednakże w obecnych warunkach politycznych nie może on, wbrew swym najlepszym chęciom, reprezentować wolnej twórczości polskiej. O tym wie dobrze on sam, o tym wiemy dobrze my, i o tym równie dobrze wiedzą inni”.

Odrodzone w tym samym roku „Wiadomości” „**firmowane**” przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich? Organizacja sankcjonowała sam druk tygodnika, który zawsze, we wszystkich wcieleniach był prywatnym przedsięwzięciem Grydzewskiego. Czy dobrze zrozumiana została kąśliwość płynąca z drugiej programowej wypowiedzi – *Literatura na emigracji*? Tymon Terlecki jako „«biblijnych sprawiedliwych», do których należy równać, wskazał Zygmunta Nowakowskiego i Mariana Hemara (zaangażowanie)”. Terlecki nie tyle „żądał” od artystów ideowej aktywności, co biorąc za dowód punktowaną dwójkę zarzucał, że „zaangażowanie w najbardziej dosłownej i skrajnej postaci” nie wyszło „na korzyść ich twórczości”. Wytykał (zresztą niesprawiedliwie), że pierwszy „zarzucił powieściopisarstwo”, a drugi – dramat.

Czy Lidia Ciołkoszowa „**przeszarżowała**”, dowodząc, iż talent Balińskiego „rozkwitł z uczucia nostalgii, wspólnego nam wszystkim na emigracji”? Nie galopowała, a miała na myśli syna. To on krył się pod *pluralis maiestatis* „młodego pokolenia Polaków”, które „wychodząc do szkoły w Londynie, kładło do kieszeni płaszczy tomiki Balińskiego”. Kluczowy jest tutaj imiesłów „wychodząc”. Wtedy właśnie żegnała go matka: niepodległościowa socjalistka, historyk i żona Adama. Mówiła więc nie (jakoby z przesadą) o całej generacji „chodzącej” do angielskich szkół, a o swym dziecku – ówcześni odbiorcy rozumieli aluzję. Świetnie zapowiadający się Andrzej Ciołkosz, m.in. tłumacz *Innego świata* na angielski zginął samobójczą śmiercią w wieku 23 lat.



W ramach prób obrony starzejącego się *młodzieńca*, podniesienia argumentu, że nigdy nie podjął „dialogu z politycznymi agentami PRL” (czym jednak był wywiad dla „Twórczości” udzielony na przełomie 1981/1982 Markowi Pytaszowi, TW „Zbyszek”), ale „wytrwał na emigracji do końca”, kreśli Wojciech Wencel usprawiedliwienie: „A przecież w 1956 roku i później wracali ludzie – wydawałoby się – bardziej stanowczy od niego, ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem na czele”. „**Na czele**”... Któż za nim? Kto „bardziej stanowczy” zrejterował? Hugon Hanke i Klaudiusz Hrabyk to zwykłe agenci, Michał Choromański czy Melchior Wańkowicz nie zasłynęli na Zachodzie ideową „stanowczością”. Kto zatem? Goryczkę wytknięć zbalansujmy pozytywnym (z listów zachowanych w toruńskim Archiwum Emigracji) wkładem.

Informował Nowakowski Grydzewskiego 29 listopada 1951 roku, że sprawa wręczenia nagrody „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” „nie posunęła się ani o krok naprzód”. Tyle, „że wczoraj telefonował do

mnie z właściwą sobie histerią Baliński, prosząc o zachowanie dyskrecji na temat rozmaitych niedyskrecji konkursowych. Cóż to za straszny typ!”. Nie unikali się wszakże. Dziesięć dni później, przypominając o prywatnym przyjęciu z okazji lauru uprzedza Nowakowski, że Juliusza Sakowskiego „nie będzie, jak zapewne nie będzie Balińskiego”: „Reszta przyjdzie”. Reszta, czyli szef „Dziennika Polskiego” Leszek Kirkien z żoną („Cóż za straszna wydra ta Kirkienowa!”). Kto ponadto mógł być proszony? Dwa dni później melduje: „Żałuję, że nie będzie Sakowskiego, a wolałbym, by był Baliński, ale on także jest «zagranicą». Cóż to za idiotyczny termin «zagranicą!»”.

Dowiemy się przy tej okazji smakowitego szczegółu, iż Nowakowski zaserwuje flaki. Jeszcze jedno... Coś „nie gra” z piosenką Leszka Długosza pt. *Jaka szkoda*, której tekst miał odkryć ponoć w tomie *Wielka podróż*, na który natknął się – jak pamiętał – w mieszkaniu Piotra Skrzyneckiego: „Leżał na stercie różnaitości obok Piotrowego tapczanu”. „Ponoć”, gdyż pieśń to kombinacja *Niedzieli* (z cyklu *Stary Londyn*) i *Nawoływań*, obu z wydanych w 1981 roku *Wierszy emigracyjnych*. Nie mógł ich Długosz znaleźć w żadnej z książek poety przed 1968 rokiem, kiedy to w „Piwnicy pod Baranami” ma miejsce prawykonanie. *Nawoływania* (z nagłówkiem *Poczekaj...*) wydrukowano w „Wiadomościach” 11 stycznia 1948, a *Niedzielę* 16 maja tego samego roku.

Z tego numeru rozlegnie się „najbardziej antykomunistyczny wiersz Balińskiego” – *Wieża* (jako *Czarodziejska wieża*), również wykonana w wersji wokalne w „Piwnicy”, lecz wnet zdjęta przez cenzurę. We wspomnieniach reprodukuje Długosz maszynopis wariantu z rozszerzonym tytułem, co rekomendowałyby „Wiadomości” jako źródło. Zadziwia, że inny utwór Balińskiego – *Pieśń kochanków* –

wyemitowano „na antenie Telewizji Polskiej w wieczór sylwestrowy 1969 roku”, w ramach przygotowanego przez Długosza widowiska. Rozważania o „Piwnicy” i jej bardziej przerywa refleksja: „Już starożytni (na przykład Arystoteles) twierdzili, że melancholia sprzyja artystom”. I mnie ona teraz ogarnia w stopniu większym niż zwykle.

Lwie oko w tunelu

Gdyż afekt do historyczno-literackiej puścizny Wojciecha Wencła pozostał nieodwzajemniony. Po odejściu Leszka Długosza przyzna, że do krakowskiego grobu Zygmunta Nowakowskiego pielgrzymował z pieśniarzem, wśród którego zasług akurat o jakimkolwiek publicznym wyznaniu wiary w „Emigrejta” nie wiadomo. A poszukuję i wyławiam od lat jej najdrobniejsze okruchy. O czymś nie wiem? Dykteryjka ta mimochodem popchnie do westchnienia, że biografie szczodrych duchów w rok nie powstają i że baza źródłowa *Smutnego młodzieńca* sięga niestety dość płytko. Ale miało być o melancholii.

Surowo wypada gdzieniegdzie i ocena „mowy wiązanej”. O *Panoramie Warszawy* i *Wieczorze w Teatrze Wielkim* dowiemy się, że wymieniając linie „zwiertzałych nazwisk operowych sław” winny jest Baliński, iż „poezja tego typu wydaje się martwa”. Nie mnie pouczać, ale przecież i w czystym rejestrze przedziwnych imion zakłeta jest tajemna melodia polszczyzny. Wystarczy wywołać (pominiętą przez Jana Lechonia w książkowych wydaniach, a dedykowaną „Kochanemu Jarosławowi”) *Symfonię imion*. Słyszemy, że Lechoń cierpiał na psychastenię a Baliński – na depresję melancholiczną. Toż powtarzalność stanowi jej nieodłączną markę! Ekspert tej dziedziny Marek Bieńczyk, śledzi „bezpośrednią zależność między melancholią pisarza a techniką pisarską i wynikające stąd strategie stylu i figury retoryczne”.

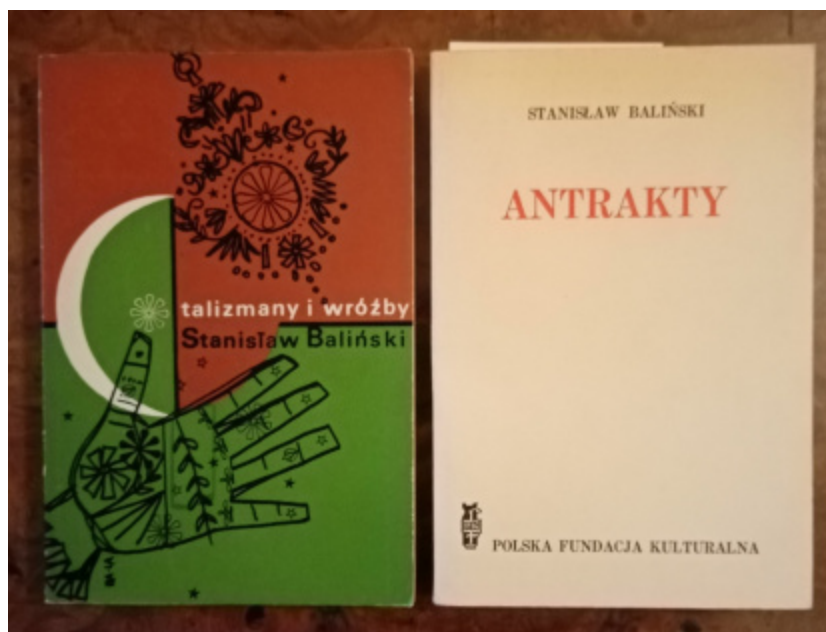
Zaprasza klasyka Roberta Burtona, który w 1621 roku ukazał, jak osoba melancholika „zacierą się, ujawnia się jako próżnia wypełniona substancją, wielością innych istnień, ich słowami, sformułowaniami i myślami; ujawnia zarówno swe, by tak rzec, niedoistnienie, jak i potrzebę zewnętrznej podpory, skłonna do cząstkowego choćby, zapożyczonego czy wyszabrowanego istnienia w tym, co zapełnia w danej chwili jej pole widzenia: w kolejnym cytacie, kryptocytacie, streszczeniu, gnomie, przysłowiu, w kolejnej mądrości ludowej i nie swojej rymowance”. Kłaniają się u Bieńczyka i romantycy – Krasiński („Słońce wśród czarnego nieba! Lwie oko w jaskini!”) czy Malczewski, twórca „najlepszego życiorysu, gdy ktoś chce mówić o klęsce”. Czy to prawda o doli także *Smutnego młodzieńca*?

Przeczytaj również: Trzeci Conrad, czyli cytryna z pestkami

W *Towiańczykach* diagnoza „«mizantropii czarnej», jednej z groźniejszych na emigracji chorób duszy” daje w 1987 roku Alinie Witkowskiej asumpt do wylewu: „Oczywiście jednostki wybitne znajdowały się pod szczególnym naciskiem nienormalnej sytuacji egzystencjalnej, one też angażowały całą swoją wrażliwość i energię duchową tyleż w rozpoznanie sytuacji, ile w próby znalezienia wyjścia z tego tunelu bez końca i bez światła, jakim stawał się byt emigracyjny – fatalne spełnienie losu jednostkowego i polskiego zarazem”. Bardzo krajowa to perspektywa, cechująca kompleks pogodzonych z niewolą. Wciąż widać bała się władza bakcyła romantycznych egzulów. Bezpodstawnie. W XX wieku nie zaowocuje rytm „destrukcji psychiczno-nerwowych, jakim podlegała cała myśląca społeczność wychodźcza” rozmachem pieczętowanego krwią nowoczesnego *Składu zasad*.

W analizie Wencła urzeka zdanie: „Tańczący z cieniami melancholik nie jest zamknięty w swoim momencie dziejowym, jego perspektywa temporalna obejmuje szereg pokoleń”. Przede wszystkim stan ten „pozwala wydobyć głęboki liryzm nie tylko ze wspomnień, ale i z najprostszych obrazów życia”. Jakże bliska „radość czucia się smutnym”! Z różnicą, że zapatrzony nie w indywidualną przeszłość, nie w osobnicze elementy porządku przemijania (o tej nie chcę dumać, a ich widma płoszę), lecz w przeszłość sięgającą hen, za rok mego urodzenia; ogólniejszą i szerszą. Niektóre dawne, narodowe chwile radują mnie zarazem i smucą. Każdy świadomy dziejów ojczyzny, dostrzegający jej faktyczne miejsce nie może się cieszyć. A wrażliwiec – nie mieć nadszarpniętych nerwów.

Już w debiutanckim *Mieście księżyców* wiją się zbłąkane pasma – póki co – niedzielnej melancholii: „Niezadowolone ze swego przeznaczenia smugi odrywają się z samotnych okien i odlatują w przeciwne strony czasu, żeby odnaleźć wyrazy nowej, własnej modlitwy”. Zatrzymajmy się przy niej. Wencel referuje poszukiwania Boga (*Dwie świece*) czy żal do Niego (w *Smutnym Rzymie*), a jednocześnie stawia na wyrost tezę o panującym w dorobku Stanisława braku transcendencji. Niepomny wyszeptanego *Do poetów polskich* „wierzę...” zarzuca, że – acz katolik – „nie pozostawił żadnego świadectwa duchowego”. Że tak nie jest, poleciłbym *Wyznanie, Wieczne rozczarowanie, Anioła... W Ptakach we śnie* czyni przedśmiertny znak krzyża. Czegóż chcieć więcej? Podług Wencła poeta to „nierówny”.



Dwukrotnie wyrokuje, że niektóre liryki wręcz „nie zasługują na uwagę”. Ciekawi bylibyśmy zdania współczesnych kolegów po fachu. Wiemy skądinąd, że Wierzyński *Scenę ucieczki* oraz *Kronikę o końcu świata* miał za słabe. *Wygnańca* dla odmiany nazwał „pięknym”. Rewanżował się Baliński opinią o ofiarowanym Herminii Naglerowej *Preludium*, że wiersz „o smutku życia straszliwie tragiczny, mimo jakiejś muzycznej formy i pozornej obojętności” objawia „jedną z prawd naszego życia, tajemniczo smutnego życia”. W *Antraktach*, notując z aprobatą „nawrócenie się do idei chrześcijańskiej” W.H. Audena, cytuje go „mniej więcej”: „Chcę, aby każdy mój wiersz odróżniał się od wierszy innych poetów, żeby był mój własny, prawdziwy, rozpoznawalny jak charakter mego pisma, napisany – gorzej lub lepiej – ale wyłącznie przeze mnie”.

Aniołek Charliego, czyli zamiast epilogu

Osiągnąwszy narzucony dobrowolnie limit wypowiedzi i na koniec zadaję pytanie. Czy nawet owe „słabsze” wiersze Balińskiego odróżniają go wystarczająco? Ach, potrafił odsłonić prawdę o sobie w świecie, historii i... w kosmosie (pożywne księżyce!). Człowiek, który nadto w drugiej połowie życia (celna konstatacja): „Czuł się wygnany podwójnie – jako emigrant i jako melancholik”? Pomnożona samotność łączy go z Józefem Wittlinem, czwartym, a zaniechanym dotąd, wypędzonym Skamandrytą. Czy wolno liczyć na kolejną opowieść? Dogasający wydawca zdecydował się na edycję dotychczasowej całości w *hardbackach*. Warto mieć ten komplet. Wbrew panującej dziś konstrukcyjnej konwencji (*vide* niniejsza recenzyjna saga) każdy z kolejnych tomów jest o dziwo mniejszy: *Rycerz i faun* piętnaście procent chudszy niż *Sens ponad klęską*, a i *Młodzieniec* – jak *Lechoń* – cieńszy.

Przy potencjalnym układzie trylogii w jednym woluminie udałoby się wycieniować akcenty malujące historyczne tło – najpełniej rozbudowane siłą z konieczności przy Wierzyńskim. Uniknięto by w ten sposób niezbędnej w panującym, powiedzmy, układzie „trójpolówki” potrzeby powtórzeń. Czy wydanie wspólne, o objętości, która i tak nie osiągnęłaby tysiąca stron, zrodziłoby propozycję jeszcze bardziej przystępną dla poszukujących przyjaznej wiedzy o tamtych czasach i ludziach? I tak foliał nie przebiłby rozmiarów biografii Herberta czy Miłosza. Czy znajdzie się nakładca, który zaoferowałby wymarzoną i uzupełnioną – całość? Przede wszystkim, czy autor podobny krok zamierza?

Jestem po lekturze nowości o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ale i Konrada Swinarskiego z Różą Luksemburg rozczytałem pod kątem panującego obecnie w żywotach rzemiosła. Rzadko bywa ono sztuką, o którą niewątpliwie trójksiąg się ociera. Mierząc jego ofertę z poziomu najbliższej tematycznie, pierwszej z wymienionych pozycji – przedstawi się o tyle lepiej, lecz zawsze powtarzam, że poecie i fachowemu literatowi stawiać trzeba wyższe wymagania. Atutem jego jest bowiem świadome podjęcie wyciągniętej przez pokolenia dziadów i pradziadów ręki. Wyczulony na niezbedność tego gestu dla przywrócenia równowagi w kulturze podaje własną dłoń – późnym może – wnukom. Ułatwia bohaterom „przemknąć się jeszcze do historii”, że posłużymy się optyką Balińskiego z *Rzeczy sumienia*.

Jeśli chciał natomiast przy pomocy Leszka Długosza uaktualnić i uatrakcyjnić przekaz, to poniższy wątek byłby pewnie barwniej użyteczny. Ella Baliński... Aktorka sławna wśród (przynajmy) nielicznych fanów *Aniołków Charliego* z 2019 roku, gdzie grała u boku Kristen Stewart. Córka Kazimierza (Kaza), celebryty oraz top-modelki i telewizyjnej osobowości kulinarnej Lorraine Pascale, wnuczka Jana (brata Stanisława). Matka Kaza, Katrina Emmott po rozwodzie mieszkała na Zielonej Wyspie. Dodajmy, że Kaz w swej rezydencji Glendalough House (hrabstwo Wicklow, Contae Chill Mhantáin, zwane „Ogrodem Irlandii”) ożenił się powtórnie w 2021 roku z gwiazdą *reality show* i również supermodelką Sophie Anderton (znaną z ryzykownej kampanii reklamowej biustonoszy Gossard w połowie lat dziewięćdziesiątych).

Pop-kulturowym żartem zamykam serię o wyrafinowanym i stymulującym tryptyku, której każdy odcinek inicjowało motto wzięte z artykułu stryjecznego Elli dziadka – *Życie Modiglianiego na tle minionej świetności Paryża* z „Wiadomości”. A więc: życie Balińskiego na tle minionej świetności Warszawy. I przez długie lata jej w sercach wielu substytutu – Polskiego Londynu.

Paweł Chojnacki

Wojciech Wencel, *Baliński. Smutny młodzieniec. Biografia poety*, Instytut Literatury, Kraków, 2023, stron 306.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
